

Przewodnik po Maderze

Spis treści

Dzień 1	2
Dzień 2	4
Dzień 3	6
Dzień 4	8
Dzień 5	11
Dzień 6	14
Dzień 7	17
Dzień 8	20
Strony internetowe.....	22

Dzień 1

1 grudnia, wtorek

Warszawa - Santa Cruz - Canico de Baxio

Po dwutygodniowym oczekiwaniu na przygodę naszego życia nadszedł ten dzień. Godzina 6:50 – meldujemy się na lotnisku Okęcie w Warszawie i udajemy się do punktu Itaki, jest 01 grudnia. Zanim udaliśmy się do odprawy lotów musieliśmy ustawić się w długiej kolejce by odebrać nasze bilety lotniskowe. Potem nastąpiła szybka odprawa - do której wystarczy dowód osobisty - i po 1,5 godziny znajdujemy się na pokładzie Boeinga 737-800 linii Eurocypria razem ze 109 osobami lecącymi na Maderę - wyspę wiecznej wiosny. O dziwo samolot nie miał opóźnień. W samolocie dostaliśmy miejsca E i F, czyli prawą stronę samolotu - na czym bardzo mi zależało. Czemu?. Ponieważ po tej stronie widać wyspę i lotnisko w Santa Cruz, no i co najważniejsze samolot podchodzi do lądowania przechylając się na prawą stronę co gwarantuje niezapomniane widoki i przeżycia.

Mieliśmy świetnego pilota w ogóle nie było czuć jak się wzbijamy i podchodzimy do lądowania. A należy zauważyć, że lotnisko na Maderze jest trudne do podejścia - żeby tam wylądować trzeba być bardzo doświadczonym pilotem. Sam lot trwał 4 godziny 15 minut i minął bardzo szybko - pewnie przyczyną było też to, że lecieliśmy tam bardzo podekscytowani. Co nas czeka? Jak będzie? Jaka temperatura? Czy naprawdę jest tam taka bujna roślinność? Nam udało się znaleźć odpowiedzi na te wszystkie pytania, o czym za chwilę opowiemy.

Podchodzimy do lądowania, chmury zostawiliśmy z tyłu, po chwili widać kontury wyspy, przelatujemy nad Ponta de Sao Lourenco, widać już charakterystyczne filary pod pasem startowym, przelatujemy równoległe do lotniska, po czym zawracamy na bardzo niskiej wysokości, niemal dotykając skrzydłem tafli oceanu (przynajmniej tak nam się wydaje) i po chwili kołujemy.

Po wyjściu z samolotu okazuje się, że temperatura na zewnątrz jest bardzo przyjemna - 22 stopnie Celsjusza, idziemy do budynku lotniska - owiewa nas delikatny podmuch oceanicznego wiatru.- Szybko odbieramy bagaże i kierujemy się do wyjścia. Tam czeka już na nas nasz rezydent - pan Julian. Kieruje nas do autokaru i po chwili udajemy się do hotelu w Canico de Baxio, podróż zajmuje ok 20 minut. Po drodze rozwozimy jeszcze turystów do hotelu w Santa Cruz gdzie wysiada grupa ok 8 - 10 osób. Jadąc widzimy, że drogi są w dobrym stanie, wjeżdżając do Canico jedziemy cały czas w dół - zadziwia nas technika jazdy kierowcy autokaru, wjeżdżając w wąskie dla autokaru uliczki, bez problemu się po nich poruszają, podjeżdżamy pod hotel, rejestracja przebiega sprawnie, mamy klucze w rękę i udajemy się do pokoju.

Pokój, duży, przestronny, z klimatyzacją, telewizor LCD - z polskich stacji odbiera tylko TV Polonia - ale nie przyjechaliśmy tu po to, żeby oglądać telewizję, przestronna łazienka z wanną i przede wszystkim pokój z widokiem na ocean - na czym tak bardzo nam zależało. Rzeczy zostawiamy walizki w pokoju i idziemy rozejrzeć się po hotelu. Hotel jest duży, w części Orchid znajduje się basen, jacuzzi, sauna, łaźnia turecka i sala fitness z siłownią. Z tego wszystkiego można korzystać za darmo w godz. 8 - 18:30. Po podróży chętnie korzystamy z udogodnień hotelu, po czym idziemy na zwiady po okolicy, naszym celem jest wyżej położone Canico, ale po 40 minutowym podejściu w górę rezygnujemy - niestety kondycja nie ta :). Po kilku dniach dowiadujemy się, że można iść skrótem do Canico w którym są dwa supermarkety (por. supermercado). Takim sposobem zwiedzamy Canico de Baixo, chodzi się raz pod górę raz z górki, ciężkie doświadczenie dla nizinnych stworzeń:). Miejscowość robi bardzo przyjemne wrażenie, znajduje się tutaj mini market, wypożyczalnia samochodów. Wchodzimy do wypożyczalni Magoscar i okazuje się, że wynajęcie Seata Ibiza to koszt 32 €/dzień przy 7 dniach i trzeba wnieść 250€ depozytu, z tymi informacjami udajemy się do hotelu. Ten spacer i cała podróż dała nam w kość i z ulgą idziemy na obiadokolację. Ilość jedzenia i jednocześnie różnorodność mile nas zaskakują. W pierwszy dzień podają nam dwa rodzaje ryb (m.in. espadę w bananach – specjał Maderczyków), mięsa, sałatki, dodatki typu warzywa surowe i gotowane, kulki ziemniaczane, owoce, ciasta oraz lokalne desery. W tak sympatyczny sposób

kończy się nasz początek pobytu na Maderze, jeszcze tylko chwila spędzona na balkonie patrząc na ocean, kąpiel i do spania.

Dzień 2

2 grudnia, środa

Canico de Baxio - Ponta de Sao Lourenco - Machico - Canico de Baxio

Obudził nas piękny wschód słońca. Promienie słoneczne świeciły wprost na nasze łóżko. Byliśmy bardzo głodni, więc tylko krótkie spojrzenie na ocean, ocena pogody i zeszliśmy na śniadanie. To było nasze pierwsze śniadanie, które mieliśmy okazję zjeść na tarasie. Wybór był bardzo urozmaicony, znów było z czego wybierać. Po śniadaniu udaliśmy się do recepcji by dowiedzieć się czy hotel współpracuje z jakąś wypożyczalnią. Hotel współpracował z wypożyczalnią Wind z Funchal i mają bardzo konkurencyjne ceny. Zamówiliśmy samochód, był to Hyundai Getz i po godzinie pod hotel przyjechał przedstawiciel wypożyczalni z samochodem.

Wycieczka na ten dzień była z góry zaplanowana. Oglądając zdjęcia jeszcze przed wyjazdem, urzekły nas widoki z Ponta de Sao Lourenco. Naszym zamiarem było zdobycie tego "szczytu". Na początku trzeba było się przyzwyczaić do tego, że sprzęgło w Getz'ie było zużyte dużo bardziej niż w samochodzie, którym poruszamy się po Polsce.

Słyszeliśmy, że po Maderze jeździ się fatalnie, że drogi są wąskie a dodatkowo trzeba umieć ruszać ze stromych górskich ulic i dróg z ręcznego, okazało się to nieprawdą. Drogi są na tyle szerokie, że samochody osobowe swobodnie się mieszczą a nawet i dwa autobusy. Jedyna droga, która była wąska to ta prowadząca do Eira do Serrado czyli punktu widokowego na Curral das Freiras ale o tym później. Zaopatrzeni w przewodnik Madery z wydawnictwa Pascal zakupiony w Polsce i mapę 1:75 000 zakupioną za 4,5 € w sklepie z pamiątkami w Canico de Baxio ruszyliśmy w swoją pierwszą przejażdżkę. Bez problemu wjechaliśmy na via Rapide, która ma dwa pasy ruchu w każdym kierunku. Po 15 minutach przejechaliśmy pod pasem startowym lotniska w Santa Cruz - przyznać trzeba, że widok 180 kolumn po 3 metry średnicy każda robi wrażenie. Minęliśmy Machico, następnie Canical i ok 5 km za Canical wjechaliśmy na rondo, na którym skręciliśmy w prawo (skręt w lewo prowadzi do Miradouro (punkt widokowy) i po ok 1 km dojechaliśmy na parking. Ubraliśmy buty trekkingowe, do plecaka spakowaliśmy wodę, batony kupione w Polsce i ruszyliśmy na szlak Vereda de Sao Lourenco. Szlak jest mocno zróżnicowany, początkowo idzie się w dół, po czym trzeba się wspiąć ostro pod górę. Następnie idzie się kawałek w miarę płaskim odcinkiem i tak wygląda niemal cały szlak. Nie wygląda na trudny, ale to tylko pozory, ponieważ wędrówka zajmuje ok. 3 godzin. Widoki ze szlaku zapadają w pamięci na długo, dla nas osobiście jest to jeden z najważniejszych punktów do odwiedzenia na Maderze, a przewodnik ledwo co o tym miejscu wspomina. Idąc tym szlakiem miałem przed oczami scenerie jaką znam z filmu Piraci z Karaibów (ta wersja z Johny Deepem i Orlando Bloomem). Najgorszy odcinek to ostatnie 100 - 200 metrów ze względu na bardzo strome i niewygodne podejście, ale myślę, że każdy da sobie z nim radę chociażby przez częstsze odpoczywanie - widoki niezapomniane. Zejście przebiegło znacznie sprawniej, nam przejście w obie strony zajęło ok 4 godziny ze względu na zdjęcia, które robiliśmy po drodze. Ponoć da się go przejść w ok. dwie godziny w obie strony nie robiąc zdjęć - ale to nie jest potwierdzona informacja i nie ręczę za nią :) I tutaj trzeba zauważyć ważną rzecz sporo Polaków na Maderę wybiera się bez butów trekkingowych a to jest spory błąd, chyba, że ktoś chce poruszać się tylko ulicami asfaltowymi czy chodnikami. Widzieliśmy osoby, które niby łatwą trasę na Sao Lourenco próbowali przejść w zwykłych butach, klapkach i zawracali. Podobnie na lewadach bywa wąsko, ślisko i idzie się czasem po kamieniach mniejszych lub większych, zresztą krążył dowcip, że polaka na Maderze można poznać po tym, że trasy po których wszyscy chodzą w obuwiu trekkingowym Polacy pokonują w sandałach czy też butach sportowych.

Z parkingu udajemy się jeszcze na wcześniej wspomniany punkt widokowy i zastajemy tam grupę niemieckich turystów i nie ciekawy widok na Sao Lourenco, udajemy się w drogę powrotną. Omijamy Canical, które przewodnik poleca ze względu na muzeum wielorybów, ale wiemy, że jest nieczynne. Generalnie Canical znane jest z tego, że było to ostatnie miasto, gdzie zaprzestano połowu wielorybów. Można tam wybrać się na rejs, podczas którego można zobaczyć delfiny w naturalnym środowisku, a także przy odrobinie szczęścia wieloryby i żółwie, ale niestety nie w grudniu.

W ten sposób trafiamy do Machico, gdzie po raz pierwszy kapitan Zarco wbił portugalską flagę na Maderskiej ziemi. Miasteczko bardzo urocze z brukowanymi ulicami i kościołami, kręcimy się chwilę po trójkątnym placu, robimy kilka zdjęć i idziemy zobaczyć sklepy następnie fortecę i port. W oczy rzucają się żółte taksówki same mercedesy, bardzo zadbane. Niestety robi się powoli ciemno - widno robi się ok 6:30 - 7:00 a ciemno ok 17:30 – 18:00 i udajemy się do hotelu. Dojeżdżamy do hotelu i idziemy na kolację. Po kolacji planujemy wycieczkę na następny dzień w stronę Sao Vicente, Porto Moniz i Paul da Serra, wszystko zależy od pogody i tego, która część Madery będzie skąpana w słońcu.

Tymczasem idziemy spać ...

Dzień 3

3 grudnia, czwartek

Canico de Baxio - Sao Vicente - Seixal - Porto Moniz - Rabacal - Paul da Serra - Ribeira Brava - Canico - Canico de Baxio

Pobudka 08:00 rano, wychodzę na balkon by sprawdzić pogodę. Okazuje się, że w zasięgu wzroku nie ma chmur, także już było niemal pewne, że jedziemy trasą zaplanowaną wczorajszego wieczoru. Startujemy z pod hotelu i po kilku chwilach jedziemy via Rapida w kierunku Funchal. Ruch odbywa się płynnie, ale jednak pod górkę a rozwinięcie prędkości 90 km/h jest poza zasięgiem Getza. Później jest lepiej i bez problemu jedziemy 100km/h, zjeżdżamy na stację benzynową.

Kierujemy się w kierunku Ribeira Brava - w tym miejscu kończy się dla nas via Rapida i skręcamy na Sao Vicente. Droga mija szybko, co chwilę stajemy, ponieważ widoki zapierają dech w piersi. W przewodniku znajdujemy informacje o grotach/jaskiniach w Sao Vicente, postanawiamy zorientować się w cenach i ewentualnie je odwiedzić. Droga jest dobrze oznaczona i szybko znajdujemy się na parkingu. Chodnik z parkingu do jaskini prowadzi tunelem pod trasą Ribeira Brava - Sao Vicente, bilet kosztuje 8 €.

Sympatyczna pani płynnym angielskim kieruje nas do wejścia informując, że w środku czeka grupa z przewodnikiem, wchodzimy do środka i idziemy przez kilka minut robiąc zdjęcia i oglądając jaskinie. Trafiamy na grupę, Pani przewodnik po angielsku opowiada o skałach, budowie geologicznej. Wycieczka jest naprawdę bardzo ciekawa, ale krótka po 20 minutach wychodzimy z jaskini i kierujemy się do centrum wulkanologicznego, tam oglądamy wystawę, filmy i symulację wybuchu wulkanu. Następnie trafiamy do sporej klatki, która udaje windę i "zjeżdżamy" do wnętrza ziemi (bardzo prosty i ciekawy pomysł). Po wyjściu z "windy" widzimy instalację udająca lawę. Przechodzimy do sali kinowej, dostajemy okulary 3D i wchodzimy na mini salę kinową, oglądamy film o ziemi, wulkanach, przeplatany zdjęciami z Madery wszystko w 3D, na tym kończy się pokaz, spędziliśmy w tym miejscu ok 1,5 godz. Wracamy na parking i udajemy się do centrum Sao Vicente. Na mapie wygląda jak miasteczko. W rzeczywistości jest to wioska, pełna uroku, choć naprawdę niewielka. Po 15 minutach obeszliliśmy centrum, Kościół i sklep, w którym zakupiliśmy wino polecane przez miejscowego sprzedawcę za całe 8 €, wina maderskie kosztują od 10 €.

Wracamy do samochodu i udajemy się na północ ku skrzyżowaniu dróg łączących Ponta Delgada z Porto Moniz. Chcieliśmy jechać Północną Drogą Nabrzeżną - w zasadzie był to jedna z główniejszych atrakcji dla mnie, ale szybko okazuje się, że droga jest częściowo zamknięta ze względu na obsuwające się skały i spadające kamienie. Tak jedziemy szybszą trasą, która wiedzie przez tunele, przed każdym z tuneli jest znak Antiga 101, który oznacza starą drogę nabrzeżną. Przy każdym tunelu wypatrujemy czy choć kawałek starej drogi jest otwarty. Niewyobrażalne jest to, że kiedyś ta droga była dwukierunkowa, patrząc na nią ciężko sobie wyobrazić dwa mijające się tam samochody. Dojeżdżamy do miejscowości Seixal, omijamy centrum i jedziemy w stronę portu i plaży. Na miejscu okazuje się, że jesteśmy jedynymi turystami. Zwracam uwagę na dźwig, który umacnia falochron. Postanawiam podejść do dźwigu, nie mogę sobie odmówić przyjemności zrobienia zdjęć. Fale rozbijające się o falochron wyglądają porażająco. Zapuszczam się na sam koniec falochronu. Nagle słyszę krzyk mojej żony, żebym uciekał bo zbliża się ogromna fala. Parę sekund po tym jak się ewakuowałem z tego miejsca, fala o wysokości ok 2 metrów doszczętnie załała miejsce, w którym przed kilkoma sekundami stałem. Całe szczęście nic mi nie jest, nie wiem jakby się to skończyło gdybym nie uciekł - ale za to mamy piękne zdjęcia :)

Ruszamy dalej do Porto Moniz, tam gdzie nam się to udaje zjeżdżamy na starą drogę. Dojeżdżamy do tunelu, który cały wyłożony jest kamieniami. Za tym tunelem jest miejsce, gdzie fale oceanu wdzierają się na drogę. Mamy mokry samochodu - dobrze, że szyby mieliśmy zamknięte (obecnie cała droga 101 jest zamknięta dla ruchu kołowego). Bez pośpiechu dojeżdżamy do Porto Moniz.

Na pierwszym rondzie skręcamy w prawo i po 100 metrach parkujemy samochód. Schodzimy w dół i naszym oczom ukazuje się budynek akwarium oraz restauracja Cachalote. Decydujemy się pod wpływem głodu zjeść tam obiad. Wybieramy stolik z widokiem na ocean. To była

najlepsza decyzja, poniewaz jedzenie, o ktorym zaraz opowiem bylo wysmienite. Oczywiscie decydujemy sie zjesc Espade, tym razem z grilla – tutejszy specjal i sardynki.

Jako przystawke dostajemy pol bochenka chleba i spore naczynko z oliwkami czarnymi i zielonymi. Po kilkunastu minutach dostajemy dania, ktore zamowilismy, podawane sa w ciekawy sposob. Otóz mamy przed soba puste talerze, na ktore kelnerka naklada danie, i tak oto na naszych talerzach laduje risotto z owocami morza, ziemniaki, pataty, pomidory, salata i ryby, bardzo duzy kawalek espady i sardynki, ale nie takie jak w Polsce. Kazda z nich miala ok. 25 cm. To wszystko plus napoje kosztowalo nas 22 €, trzeba podkrelic, ze zamawialismy tylko ryby a wszystkie pozostale rzeczy dostalismy w cenie do ryb. Po posilku udajemy sie na dalsze zwiedzanie miasta. Wychodzimy z restauracji, przed nami rozposciera sie niesamowity widok na ocean i baseny zrobione w oceanie. Idziemy dalej promenada robiac zdjecia wchodzimy do sklepów z pamiatkami. Kasia mierzy tam poncho i zastanawia sie czy je nabyć, koniec końców nic nie kupujemy. Wracamy do samochodu i kierujemy sie w gore w strone miejscowosci Achadas da Cruz, kilka kilometrow przed ta miejscowoscia skrecamy w lewo zgodnie z kierunkowskazem na Paul da Serra.

Błękitne niebo powoli zaciaga sie chmurami, po kilku kilometrach dojezdzamy do miejsca, w ktorym chmury znajduja sie na tej samej wysokosci co my. Wsiadamy z samochodu, robimy zdjecia, rzadko zdarza sie, ze jesteśmy w chmurach i możemy je "dotknac".

Po raz pierwszy na Maderze czuje jak chmury mnie oplywaja, temperatura mocno spada. W Porto Moniz bylo 22 stopnie tutaj jest ok 5. Jedziemy dalej caly czas delektujac sie widokiem szczytów osnutych chmurami, dojezdzamy w poblize miejscowosci Rabacal, w ktorej kilka lewad ma swój poczatek. Robie parę fotek, w tym zbiornika do ktorego splywa woda jednej z lewad i kapliczke. Zastanawiamy sie jak ludzie chodza po lewadach w takich warunkach, gdy widoczność jest znikoma, ale ruszamy dalej w strone Paul da Serra. Chmury staja sie coraz cięzsze, teren płaski, droga staje sie prosta bez zakretów, co jest rzadkoscia na Maderze.

Po kilku kilometrach chmury znikaja i możemy delektowac sie widokami.

Dalsza droga do Encumeady uplywa na robieniu zdjec. Przed Encumeada jest kilka tuneli wykutych w skale ich wnętrze jest bardzo surowe, a zarazem naturalne, czlowiek polozyl tam tylko asfalt - podobnie jak ten za Seixal. Zjezdzamy droga w strone Riberia Brava - jako, ze jest jeszcze w miare widno postanawiamy zobaczyc co oferuje ta miejscowosc. Wjezdzamy do centrum parkujemy samochod i idziemy w strone portu. Przy plazy pijemy kawę - ta w hotelu, ktora dostajemy przy sniadaniu tylko wygladem przypomina kawę. Nic nie smakuje tak jak kawa pita w takiej scenarii.

Kończymy kawę i jedziemy w strone Canico de Baxio. Ciekawe tutaj jest to, ze ruch na drogach rośnie właśnie ok godz. 18. O tej porze dzieci koncza szkole, a rodzice masowo je odbieraja zwlaszcza w okolicy Funchal robi sie tłok na via Rapida.

Zjezdzamy jeszcze do supermarketu w Canico robiac zapas wina (od 1,2 € za butelke wzwyż) na wieczór i miejscowego piwa Coral (butelka kosztuje 0,54 centa). Tak zaopatrzeni jedziemy w dół do hotelu na kolacje. Po kolacji delektujemy sie na tarasie winem i piwem Coral. Pozostaje juz tylko zejść do recepcji, zarezerwowac miejsce w bezplatnym autobusie hotelowym jadacym do Funchal, poniewaz w piatki jest tam najwiekszy targ rybny. Nowoscia tego wieczoru jest rezygnacja z uzywania klimatyzacji na rzecz otwartych drzwi balkonowych przez cala noc. Tak wiec jutro ruszamy na podbój stolicy Madery i rodzinnego miasta Christiano Ronaldo - Funchal.

Dzień 4

4 grudnia, piątek

Canico de Baxio - Funchal - Monte - Funchal - Canico de Baxio - Garaju - Camara de Lobos - Canico de Baxio

Budzimy się rano, cudownie jest słuchać szumu oceanu i czuć delikatny podmuch wiatru na sobie. Ok. 200 metrów od nabrzeża przepływa prom z Funchal na wyspę Porto Santo, która znajduje się na północny wschód od Madery, znana jest z kilkumetrowych piaszczystych plaż (rejs kosztuje ok 20 € do kupienia w biurach podróży w Funchal).

Temperatura wynosi jakieś 20 stopni.

Korzystając z tego, że autobus odjeżdża o 10, idziemy skorzystać z oferty rekreacyjnej hotelu. O godzinie 8 basen, jacuzzi, salę fitness z siłownią i dwie sauny mamy dla siebie. Spędzamy tutaj godzinę i idziemy na śniadanie, które każdego dnia jest bardzo podobne, zresztą jak w większości hoteli. Po śniadaniu udajemy się na parking przed hotelem Rocamar gdzie czeka już autokar. Jest to nasza druga przejażdżka autobusem po Maderze i ponownie zaskakuje nas sprawność z jaką kierowcy autobusów poruszają się po wąskich jak na autobusy ulicach. Po ok 40 minutach podjeżdżamy na jeden z przystanków przy Avenida das Comunidades Madeirenses, arterii przebiegającej wzdłuż nabrzeża.

Dowiadujemy się, że z tego miejsca autobus wraca do hotelu, mamy więc czas do ok 15.50, ponieważ zapisaliśmy się na powrót o 16. Bardzo szybko zdajemy sobie sprawę z tego, że do Funchal lepiej nie wjeżdżać samochodem. Bardzo ciężko znaleźć tu miejsce do parkowania. Poruszanie się pieszo jest o wiele prostsze i przyjemniejsze. Kolejną rzeczą, na którą zwróciliśmy uwagę, to fakt, że większość miejscowości na Maderze jest mniejsza w rzeczywistości, niż wskazywałby na to ich obrys na mapie. Z Funchal jest odwrotnie, jest większe a ruch przypomina ten jaki znamy z miast w Polsce (w mieście tym mieszka ok 1/3 ludności Madery).

Jako, że głównie przyjechaliliśmy na targ od razu ruszamy w jego stronę czyli w kierunku Zona Velha (Starego Miasta). Okazuje się, że światła dla pieszych mogą tam nie istnieć, piesi przechodzą na czerwonym świetle, gdy tylko nie jedzie samochód, szybko się do tego przyzwyczajamy, starając "wtopić" się w rdzennych mieszkańców tego miasta :) Po kilku minutach spaceru stoimy przed budynkiem Mercado dos Lavradores, przed budynkiem spory ruch, kwaciarki w tradycyjnych strojach układają wiązanki kwiatów, wchodzimy do środka, okazuje się, że turyści to zdecydowana większość osób w tym budynku. Przemykamy przez stoiska z kwiatami, owocami i warzywami, kierując się w stronę części rybnej, w pewnym momencie podążamy już za zapachem ryb, który dla nas jest specyficzny, gdyż w niczym nie przypomina zapachu, jaki znamy z naszych sklepów czy stoisk rybnych. Docieramy do sali z rybami, najpierw patrzymy na to z góry, gdyż jest ona umiejscowiona poniżej sali, z której weszliśmy. Od razu wchodzimy na stoisko, gdzie sprzedawca kroci swego rodzaju maczetą tuńczyka na kawałki, a że tuńczyk jest spory - mniej więcej wielkości korpusu dorosłego mężczyzny to jest na co popatrzeć. Później idziemy zobaczyć czarną espadę, której jest tutaj mnóstwo oraz parę innych ryb, których nigdy nie widzieliśmy i ich nazw nie znamy. Oczywiście wszystko dokumentujemy zdjęciami. Wypatrujemy sympatycznego sprzedawcę i pytamy czy możemy zrobić sobie z nim zdjęcie i oczywiście wielkim tuńczykiem. Pan bez problemów się zgadza wręczając maczetę w dłoń i cyk-pyk mamy zdjęcie. Kilkanaście miesięcy później podczas oglądania programu "Makłowicz w podróży" zrealizowanego na Maderze rozpoznajemy tego właśnie sprzedawcę i pana Makłowicza, który podobnie jak my dostał zgodę na pożyczanie maczety do zdjęć :) Wychodzimy z sali z rybami, idziemy na pierwsze piętro gdzie są owoce. Przy wejściu czeka już Pani, która handluje owocami i cierpliwie częstuje nas niemal każdym z owoców jakie ma w ofercie, pomimo tego, że zaznaczamy, że chcemy tylko pooglądać. Po degustacji idziemy dalej i okazuje się, że na każde zadane przez nas pytanie - co to za owoc, otrzymujemy odpowiedź i kawałek na spróbowanie.

Po tych przygodach rybno - owocowych wychodzimy z Mercado i decydujemy, że czas zobaczyć miejsce o wdzięcznej nazwie Adegas de Sao Francisco - czyli winiarnie firmy Blandy's. Droga do tego miejsca przebiega obok Katedry, zatrzymujemy się przy Katedrze robiąc zdjęcia na zewnątrz - w środku się nie dało, ponieważ odbywała się msza. Po drodze

wchodzimy w każdy zakamarek, jaki nam wpada w oko i w taki oto sposób trafiamy do winiarni. Na miejscu okazuje się, że są dwie części ogólnodostępna część, oraz część którą można zwiedzać z przewodnikiem. Najbliższa pora zwiedzania z przewodnikiem anglojęzycznym była o godzinie 14.30. Postanawiamy ten czas oczekiwania spędzić na górze Monte. Ponownie kierujemy się w stronę Mercado - kolejka (Teleferico) na Monte jest za targiem rybnym. Tutaj kolejne zdziwienie, my i maderczycy inaczej odbieramy słowo "daleko" dla maderczyków daleko to jest już 5 minut drogi spacerem. Szybko znajdujemy się przy budynku kolejki, kupujemy bilet w dwie strony (15€ od osoby, przejazd w jedną stronę kosztuje 10€, kasy są też w Monte) i ustawiamy się w dość długi ogonek osób oczekujących na wjazd. Po 15 minutach wsiadamy do wagoniku razem z 4 innymi osobami (wagoniki są 8 osobowe, ale wtedy jest już ciasnowo) pani z obsługi kolejki pstryka nam fotkę i jedziemy w górę, podróż trwa ok 15 - 20 minut. Z kolejki widać, jak zróżnicowane jest Funchal, są budynki piękne i zadbane, ale są też bardzo mocno zapuszczone z pozapadanymi dachami, bez okien, każda wolna przestrzeń jest zagospodarowana do maksimum.

Na górze Monte idziemy zobaczyć bezpłatnie ogród hotelu Quinta, który specjalnie nas nie zachwyca - pewnie przez to, że jest grudzień, a nie kwiecień czy maj. Ogrody płatne sobie opuszczamy gdyż cała Madera to jeden wielki ogród, idziemy dalej w stronę kościoła. Przystajemy przy schodach prowadzących do kościoła gdyż z tego miejsca dobrze widać początek trasy saneczkowej. Akurat trafiliśmy na moment, kiedy podjechał samochód wyładowany saneczkami (Iveco Daily). Panowie w białych ubraniach mocno się ożywili, ci którzy ściągnęli wiklinowe sanie z drewnianymi płozami ustawiali się na początku trasy, a ich "capo" jedyny z towarzystwa ubrany na czarno w tym momencie sprzedawał bilety (25€ za dwie osoby!), po czym turyści zajmowali miejsce w saniach. Następuje krótki bieg, panowie początkowo pchają sanie przez parę metrów, a później jadą z tyłu popychając je od czasu do czasu. Sanie nie rozwijają zawrotnej prędkości, ale jedzie się nimi bokiem pomiędzy samochodami co z pewnością wzmaga wrażenia. Momentalnie na ulicach wkoło startu trasy saneczkowej i na samej trasie robi się tłok samochodowo - saneczkowo - osobowy. Jako, że mamy mało czasu nie korzystamy ze zjazdu i idziemy w górę do kościoła. Na zewnętrznych ścianach kościoła są ciekawe sceny z Jezusem, które namalowane są na płytkach ceramicznych - takie jakie są w wielu domach w kuchni czy łazience. Podobne malowidła na płytkach zwane *azulejos* są w wielu miejscach Madery, niedaleko naszego hotelu jest dom, którego płot jest ozdobiony bardzo kolorowymi malowidłami na płytkach.

Sam kościół to miejsce, w którym został pochowany ostatni władca Austro - Węgier Karol I Habsburg. Jego czarny grobowiec znajduje się po lewej stronie kościoła. Po obejrzeniu wszystkiego co wydaje nas się atrakcyjne udajemy się do kolejki i zjeżdżamy w dół. Zjeżdżamy sami - najprawdopodobniej niewiele osób korzysta z tej formy powrotu do Funchal.

Prosto ze stacji kolejki udajemy się prosto do winiarni, kupujemy bilety (5€ od osoby). Okazuje się, że na koniec zwiedzania odbywa się degustacja - jest to nam bardzo na rękę, ponieważ chcemy kupić do Polski jakieś wina z Madery. Rozpoczyna się oprowadzanie, naszym przewodnikiem jest sympatyczna dziewczyna, która płynnie mówi po angielsku i bez problemu odpowiada na pytania zadawane przez grupę. Przechodzimy przez kolejne sale począwszy od sali, gdzie słyszymy o procesie wytwarzania beczek do wytwarzania wina, poprzez gatunki wina, winogron, oglądamy leżakujące wina w mniejszych i większych beczkach. Największe są wysokości ok 2,5 metra, dowiadujemy się o tym jak produkuje się wina, oglądamy pokaz zdjęć z produkcji, niestety okazuje się, że są to wina wzmocnione spirytusem, następnie trafiamy do sali, która przypomina salę muzeum. Są tu zbiory ksiąg rachunkowych firmy Blandy's począwszy od roku 1780 bodajże, maszyny do pisania, sprzęt do produkcji. Z tej sali schodzimy na dół i wchodzimy do pomieszczenia, w którym można za opłatą degustować produkty firmy, każda osoba, która zwiedzała winiarnie otrzymuje dwa kieliszki (nie lampki) jeden kieliszek z zawartością Bual drugi z Malvazią, nie przypada nam ten trunek do gustu. Opuszczamy winiarnię rodziny Blandy's. Idziemy w stronę katedry z zamiarem sfotografowania wnętrza, po drodze trafiamy do parku, w którym robimy sobie chwilę wytchnienia i kierujemy się w stronę Katedry. Niestety i tym razem nie udaje się zrobić zdjęć w środku.

Głód już dokucza więc trzeba by coś zjeść, trafiamy na budkę, gdzie sprzedają coś co wygląda jak długa bułka z parówką lub bekonem zapiekany w środku. Bułkę tą robią od początku do końca na miejscu, widzę, że jest to zwykłe ciasto z mąki, wody i soli. Taka bułka - kanapka (bolo do CaCo) kosztuje od 1,5 do 2€, zasyciliśmy głód i udajemy się w stronę miejsca gdzie wysiedliśmy z autobusu. Robimy parę zdjęć statkom i wsiadamy do autobusu. Po ok 40

minutach jesteśmy w hotelu, po drodze już zaplanowaliśmy, że przesiądziemy się do samochodu i pojedziemy do Garaju miejscowości oddalonej od Canico o ok 3 km, gdzie znajduje się figura Chrystusa Cristo Rei, łudząco podobna, lecz mniejsza do tej jaką znamy z Rio de Janeiro. Tak też robimy, na miejscu okazuje się, że to miejsce gdzie zjeżdżają się zakochani z okolicy także z Funchal. Jak zwykle seria zdjęć, widać stąd panoramę Funchal, schodzimy poniżej figury i ponownie seria zdjęć. Wracamy powoli do samochodu, wszystko byłoby ok, tylko, że teraz trzeba podejść schodami w górę, niby się do tego przyzwyczailiśmy, że tutaj chodzi się pod górę albo z góry, ale mimo wszystko lepiej się schodzi :)

Jest jeszcze jest widno idziemy za ciosem i udajemy się do Camara de Lobos, miejscowości rybackiej na zachód od Funchal, miejscowość ta słynie głównie z tego, że na tarasie tutejszej restauracji - Winston Churchill lubił rozstawiać sztalugi i malować port, dzisiaj ta restauracja nosi nazwę Churchill's i jest doskonale widoczna z portu.

Camara de Lobos jest przy via Rapidzie, dlatego bardzo szybko dojeżdżamy na miejsce i zatrzymujemy się na parkingu przy samym porcie - jak do tej pory to pierwszy parking gdzie płacimy za postój samochodu - godzina kosztowała nas 80 centów. Sama miejscowość nie zachwyca, ale dla mnie ma niesamowity klimat ze względu na rybaków. W porcie między sobą grają w karty na jak piraci. Tworzą zamkniętą grupę co jeszcze bardziej wzmacnia tajemniczy nastrój. Kierujemy się w stronę sławnej restauracji i zamawiamy kawę - ta w hotelu podawana do śniadania - jak już wspominałem kawy nie przypomina. Pijemy kawę obserwując zachód słońca i rybaków. Patrząc na nich z góry nadal nie mogę odpędzić od siebie wrażenia mroczności tego miejsca i bardzo mi się to podoba. Wypiliśmy kawę i wychodzimy od "frontu" kierujemy się w górę obchodząc port i trafiamy na świąteczny akcent - szopka, prezenty, palmy obwieszane świeżymi, sztuczny śnieg. Generalnie na każdym kroku spotykamy podobne akcenty, szopki, św. Mikołaje, obwieszane lampkami drzewa, kapitalnie wyglądają palmy ze świeżymi. Mamy wrażenie, że tak ozdobionych miast i miasteczek w Polsce nie widzieliśmy - mistrzostwem świata jest Funchal.

Docieramy na parking i udajemy się w drogę do hotelu, znowu wpadamy na szatański pomysł i chcemy zobaczyć Cabo Girao jeden z najwyższych klifów, który znajduje się niedaleko od Camara de Lobos. Droga jak zwykle pod górę, przed nami autobus, który zatrzymuje się dosłownie co kilkaset metrów wysadzając pasażerów gdzie chcą, jazda w skrócie wyglądała tak: jedynka rozpędzenie się do 30 km/h, dwójka i hamowanie. Zaciągnięcie ręcznego, ruszamy i znowu, jedynka, dwójka i stop, nie przekroczyliśmy 30km/h, po kilku kilometrach gdy zrobiło się ciemno postanawiamy zawrócić i zostawić ten klif na później. Co do jazdy samochodem, tutaj jazda ogranicza się w zasadzie do korzystania z trzech biegów i hamulca ręcznego, czwarty bieg używany był rzadko, a piąty bardzo rzadko. 5-tki poza via Rapidą nie używałem nigdy. Wbrew pozorom jeździ się bardzo dobrze, warto wypożyczyć samochód choćby na jeden dzień, żeby przekonać się jak idzie nam jazda po maderskich drogach.

Wieczór minął standardowo, obiado-kolacja i delektowanie się winem na balkonie.

Na jutro zaplanowaliśmy wycieczkę na Pico Ruivo - najwyższy szczyt Madery, oby tylko pogoda dopisała, dzisiaj słyszeliśmy, od osób, które były na tym szczycie, że z pogodą było różnie.

Dzień 5

5 grudnia, sobota

Canico de Baxio - Porto da Cruz - Santana - Schronisko Achada do Texeira - Pico Ruivo - Schronisko Achada do Texeira - Ribeiro Frio - Pico Areeiro - Canico - Canico de Baxio

Dzisiaj zapowiada się ciekawy dzień, pełen wędrówek i mamy nadzieję ciekawych widoków - pogoda wydaje się być wymarzona na tego rodzaju wycieczkę.

Jak każdego ranka po śniadaniu ruszamy w trasę.

Na Pico Ruivo planujemy wejść od strony schroniska Achada do Texeira. Żeby się tam dostać musimy udać się do Santany i stamtąd skręcić w stronę schroniska. Tak też robimy, z tym, że po drodze zatrzymujemy się w Porto da Cruz.

Hmmm 10 rano ... nie widzimy tam żadnych ludzi, miasteczko śpi w sobotni poranek, idziemy w stronę kościoła i dalej portu, mamy wrażenie, że jesteśmy tutaj sami, wreszcie widzimy kobietę, która powoli otwiera bar przy nabrzeżu. Pytamy czy można skorzystać z toalety i pani bez problemu - mimo, iż bar zamknięty - pokazuje nam gdzie się kierować. Tutaj turysta traktowany jest jak swego rodzaju dobro wspólne i każdy mieszkaniec Madery chce sprawić by czuł się tutaj jak najlepiej. Pewnie dlatego w czasie całego pobytu tutaj spotykaliśmy się z olbrzymią uprzejmością.

Porto da Cruz znane jest z młynów cukrowych, nas bardziej interesują klify, które naturalnie fotografujemy i ruszamy dalej w stronę Santany.

Wjeżdżając do Santany skręcamy w lewo koło stacji benzynowej i szukamy kierunkowskazu na Pico Ruivo, po chwili jedziemy drogą wiodącą na ten szczyt.

Na początku tej drogi są zabudowania, które wraz z wysokością zanikają, ruch staje się mniejszy. Dojeżdżamy do punktu widokowego, do którego trzeba kawałek podejść kamiennymi schodkami. Widoki zapowiadają to co czeka nas wyżej, w oddali widać Atlantyki i Santanę, niestety z południowego wschodu zbierają się chmury przykrywając powoli widok.

Jedziemy dalej do schroniska, po kilku minutach piłowania Getza na drugim biegu dojeżdżamy na nieubity plac parkingowy przed schroniskiem. Plac ten ma fantastyczny kolor - jak wiadomo Madera jest wyspą wulkaniczną i w tym miejscu ziemia ma mocno ceglany kolor. Zakładamy buty trekkingowe, plecak na plecy i ruszamy.

Droga na Pico Ruivo od strony schroniska nie jest zbyt trudna - idzie się ścieżką wyłożoną kawałkami bazaltu, zdarzają się ostrzejsze podejścia, ale większość trasy jest łagodna. W miejscu gdzie trasa prowadzi po północnej zacienionej stronie widać gdzieś zamarzliny i lód. W kilku miejscach na ścieżce jest woda, trzeba więc uważać, bo może być ślisko - były miejsca gdzie woda była zamrznięta. Widoki z każdą chwilą coraz piękniejsze, kolory są bardziej nasycone.

Na trasie mnóstwo urokliwych miejsc jak fantazyjnie powyginane drzewa, czy swego rodzaju "brama", czy może dokładniej mówiąc pół bramy. Idąc widzimy już budynek schroniska znajdującego się poniżej Pico Ruivo, dochodzimy do skrzyżowania trasy z trasą wiodącą na Pico do Areeiro. Po chwili jesteśmy przy schronisku i od razu mamy towarzysza podchodzi do nas piękny, zadbane, ogromny kocur - jak się później okazuje, kot ten towarzyszy każdej osobie, która wchodzi na plac przed schroniskiem licząc na jakiś poczęstunek. Po chwili odpoczynku ruszamy dalej w górę, od tego momentu trasa staje się o wiele trudniejsza, wspinamy się kamiennymi schodami, przystając co jakiś czas.

Wreszcie wchodzimy na "dach" Madery, Sam szczyt to trzy platformy, na największej centralnej znajdują się dwa - hmmm - kamienne pomniki, tutaj ludzie często odpoczywają, leżąc lub siedząc. Widoki pierwszorzędne, po południowej stronie więcej chmur, natomiast północna jakby mniej zachmurzona. Idziemy na platformę po południowej stronie i obserwujemy Pico Areeiro, który raz po raz chowa się za chmurami. Wracamy na platformę centralną i spotykamy tutaj parę w naszym wieku, która leciała razem z nami, z tym, że zatrzymali się w hotelu w Santa Cruz. Wymieniamy się uwagami, swym doświadczeniem w zwiedzaniu Madery, o tym jak jest w hotelu, - i tutaj nas zaskakują, u nich w hotelu nie

podają ryb, podczas gdy my mamy dwa rodzaje każdego dnia. Polecamy restaurację Cachalote w Porto Moniz, w związku z tym, że na następny dzień planują wycieczkę w tamte rejony. Schodzimy na platformę północna, tutaj widoki są bardziej wyraźne, widać więcej gór a chmury tworzą świetny dodatek.

Pora schodzić do samochodu, okazuje się, że słońce świeci już z innej strony i na nowo odkrywamy uroki trasy. Gdy przyjechaliśmy pod schronisko Achada, parking osnuty był chmurami, teraz jest już dobrze widoczny z daleka.

Zejscie zajęło nam ok 45 minut, ogólnie spędziliśmy tutaj ponad 3 godziny. Ponownie kierujemy się w stronę Santany, tym razem chcemy zobaczyć trójkątne domy.

Cóż można powiedzieć o Santanie- nie zauroczyła nas, a domy niczym specjalnym nas nie zauroczyły. Znaleźliśmy dwa domki w centrum miasta i jeden koło jakiegoś hotelu, wprawdzie można zobaczyć co jest w środku, ale nie powala nas to na kolana – taki mini skansen. Wyjeżdżamy z Santany do kolejnego celu wycieczki - Ribeiro Frio miejsca gdzie hoduje się pstrągi.

Droga pomiędzy Faial a Ribeiro Frio jest niezwykle urocza - przynajmniej dla nas. Jedziemy krętą drogą wspinając się cały czas w górę, podziwiamy to co widać za oknem. Zatrzymujemy się co jakiś czas i robimy foto-stop.

Ciekawostka - miejscowi kierowcy zatrzymują się tam gdzie im wygodnie i tak można zobaczyć samochód, który stoi sobie na zakręcie, nikogo to nie dziwi, ja też po pewnym czasie, gdy chciałem coś zobaczyć, zrobić zdjęcie zatrzymywałem się na chwilę tam gdzie było mi wygodnie i żaden kierowca nie reagował na to w negatywny sposób. Kierowcy na Maderze mają dużo cierpliwości, klakson służy tu głównie do ostrzegania się na ostrych czy też ciasnych zakrętach, żeby kierowca, który może jechać z naprzeciwka wiedział, że coś jedzie. Głównie w ten sposób ostrzegają kierowcy ciężarówek, czy też autobusów.

Wracając do wycieczki, dojeżdżamy do Riberio Frio, okolica bardzo cicha wręcz idylliczna, pełna zieleni. Zatrzymujemy się przy pierwszym barze napotkanym przez nas, wysiadamy z samochodu - według przewodnika Pascala mamy udać się za ten bar, tam mają prowadzić znaki do Balcoes. Tak też jest, idziemy w górę niby schodkami dochodzimy do "skrzyżowania" gdzie lewada prowadzi prosto lub w prawo. W prawo jest kierunkowskaz do Balcoes a prosto do Snack Baru, idziemy w prawo i po kilku minutach jesteśmy na Balcoes. Na miejscu okazuje się, że chmury przysłaniają wszystko i niewiele widać, wracamy do skrzyżowania i kierujemy się w stronę Snack Baru, żeby zapytać o pstrągi. My po angielsku, starsza pani po portugalsku i mocno gestykułując, ale dowiadujemy się, że mamy iść cały czas prosto.

Wędrujemy lewadą, widok też niesamowity przez to, że znajdujemy się na poziomie chmur, co sprawia, że krajobraz staje się tajemniczy. Lewada prowadzi przez mostek, po czym zawija o 180 stopni i po kilku minutach wychodzimy na asfaltową drogę, po której mamy iść dalej prosto. Dochodzimy do Restauracji Ribeiro Frio i dalej drogą asfaltową w górę, dochodzimy do punktu kontrolnego Parque Natural do Ribeiro Frio. Widzimy na drodze szlaban, budkę ze strażnikiem. Strażnik bez słowa podnosi szlaban, nikogo o nic nie pyta, puszcza pieszych oraz samochody bardzo nas to dziwi i nie rozumiemy tego. Jak się później okazuje jest to po to, by było wiadomo ile samochodów wjechało, a ile wyjechało - dla bezpieczeństwa (bardzo nam się ten pomysł spodobał). Po prawej stronie posterunku jest hodowla pstrąga.

Wchodzimy na teren hodowli. Jest tu kilka zbiorników mniejszych i większych, chodzi się wąskimi ścieżkami między zbiornikami. U góry zbiorniki mają kształt prostokątny i układają się w kaskadę. Na samej górze są małe pstrągi, w dolnym prostokątnym zbiorniku takie ok 20 - 25 cm, z boku znajdują się jeszcze owalne zbiorniki gdzie żyją dorosłe pstrągi. Całość jest świetnie przemyślana pod względem technicznym - woda z rzeki doprowadzona jest czymś w rodzaju lewady i przelewa się kolejno przez każdy zbiornik. Począwszy od prostokątnych na owalnych kończąc, wszystko to odbywa się za pomocą systemu miniaturowych lewad i blokad.

Jeśli nie ma się czasu i nie chce chodzić lewadą od hodowli do Balcoes to lepiej podjechać samochodem od baru do restauracji Riberio Frio, sam spacer zajmuje 30 - 40 minut.

Opuszczając hodowlę pstrąga idziemy do restauracji na kawę i mały odpoczynek. Pijąc kawę wpadamy na pomysł, żeby jechać na Pico Areeiro - dzisiaj nie mieliśmy tego w planie - zobaczyć zachód słońca, który ponoć wygląda z tego szczytu powalająco. Wracamy lewadą do samochodu i ruszamy w drogę.

Dojeżdżamy do punktu o nazwie Poiso i skręcamy w prawo zgodnie z kierunkowskazem na Pico Areeiro. Droga tą jak się okazuje można swobodnie jechać na 3 a nawet 4 biegu pod górę. Widać, że już się ściemnia, ale mamy nadzieję, że zobaczymy jeszcze zachód, szybko odzieramy się z tych złudzeń, jako, że w dół zjeżdża cała gromada samochodów. Pomimo tego jedziemy w górę. Docieramy na parking, który mieści się na samym szczycie Areeiro - w zasadzie trzeba podejść na platformę kilka schodków, ale i tak zdobyć szczyt o wysokości 1818 metrów podjeżdżając niemal pod sam wierzchołek samochodem, to rzadkość. Niestety słońce już zaszło, robimy mimo to kilka fotek.

W ogóle Areeiro jest ciekawym szczytem na Maderze. Od innych można go odróżnić masztem telekomunikacyjnym oraz dwoma żurawiami wieżowymi (dźwigami), na jego szczycie prowadzona jest budowa w zasadzie nie wiem czego, ale sądząc po tym co teraz stoi będzie to spory budynek jak na takie miejsce, jedynie mam nadzieję, że nie zaburzy scenarii.

Cóż zjeżdżamy w dół, troszkę niepokieszeni, ale planujemy, że jeszcze przyjedziemy tutaj na zachód słońca ostatniego wieczoru. Mijamy ponownie punkt kontrolny parku i kierujemy się w dół. Okazuje się, że zjeżdżając z Areeiro jechaliśmy drogą na Funchal i byliśmy w okolicy Monte, zamiast jechać do Funchal skręciliśmy na Camache na drogę bardziej krętą i mroczną - ze względu na to, że jest już kompletnie ciemno - i na pewno dłuższą niż przez Funchal.

Wyjeżdżamy na via Rapidę w okolicach Garaju, jedziemy jeszcze po drodze do supermarketu w Canico po wodę, wino i słodycze. Po zakupach udajemy się na parking hotelowy, w pokoju zostawiamy zakupy i idziemy na kolację. Umieramy z głodu już od momentu opuszczenia Ribeiro Frio, tam nie jedliśmy nic celowo, bo nam się to nie opłacało wiedząc, że w hotelu jest obiadokolacja.

Wieczór minął tak jak zwykle. Po obfitej obiadokolacji, balkon, wino i obserwowanie oceanu w pełni księżyca.

Na jutro planujemy odwiedzić miasta na południowym zachodzie i zachodzie, m.in. Calhete, gdzie jest jedyna piaszczysta plaża na Maderze, Ponta do Pargo, najbardziej na zachód wysuniętą część Madery.

Dzień 6

6 grudnia, niedziela

Canico de Baxio - Cabo Girao - Ponta do Sol - Madalena do Mar - Calheta - Jardim do Mar - Ponta do Pargo - Achadas da Cruz - Paul da Serra - Canico de Baxio - Garaju - Canico - Canico de Baxio

Kolejny dzień zaczyna się od nagłej pobudki spowodowanej przez prom do Porto Santo, nie wiem czy tak było wcześniej, ale dzisiaj wyjątkowo głośno jak na moje ucho przepłynął przed hotelem. Kasia już nie spała i miała z tego niezły ubaw. Każdy poranek wygląda tutaj podobnie, czyli po pobudce wyjście na balkon w celu zbadania pogody, później szybka toaleta, śniadanie i pakowanie plecaka na wędrówkę.

Dzisiaj wyjątkowo w plecaku ładują stroje kąpielowe i ręczniki, tak wyekwipowani ruszamy do samochodu i dalej na zachód wyspy. Naszym pierwszym przystankiem jest Cabo Girao, jeden z wyższych klifów w Europie, na parking kierują nas drogowskazy już od samej via Rapidy, na miejscu sporo ludzi, akurat są dwa autokary wycieczkowe. Na samym klifie folklor, sprzedawcy maderskich pamiątek rozłożyli się po obu stronach krótkiej drogi prowadzącej do punktu widokowego, naszą uwagę przykuwa pan grający na plastikowym wiaderku, wygląda komicznie. Sam klif kilka lat temu został wyremontowany i diametralnie zmienił swoje oblicze. Wchodzimy na szklaną platformę i możemy raczyć się panoramą Funchal - dzisiaj akurat niebo nad Funchal jest zachmurzone i widok w dół. Ciekawi mnie jak klif prezentuje się z poziomu oceanu.

Po krótkim bo zaledwie 10 - 15 minutowym pobycie na Cabo Girao ruszamy dalej, następny przystanek to Ponta do Sol - według przewodnika zawsze tonie w słońcu, wjeżdżamy na parking, i kierujemy się w stronę kościoła. Uliczki wkoło i sam plac przed kościołem są bardzo ładnie przystrojone białą niebieskimi kokardami, które tworzą swoisty baldachim. Wygląda to bardzo efektownie. Pod kościołem okazuje się, że na ten dzień planowany jest ślub, my idziemy w stronę oceanu i kamienistej plaży. Po lewej stronie znajduje się budowla, która wciną się w morze niczym molo, jest solidna z kamienia, to też zwraca naszą uwagę i tam też się kierujemy. Na miejscu wydaje mi się, że jest to nabrzeże, które kiedyś było wykorzystywane do rozładunku towarów ze statków. Budowla ta jest o tyle ciekawa, że ma schody, którymi można zejść w dół, wyglądem przypomina mi to zejścia na peron na dworcach kolejowych, tylko zamiast peronów jest platforma na której okoliczni mieszkańcy łowią ryby. Robimy zdjęcia i ruszamy dalej, trochę zaniepokojeni, gdyż niebo coraz bardziej zaciąga się chmurami.

Z Ponta do Sol kierujemy się do miejscowości Madalena do Mar, gdzie w miejscowym kościele pochowany jest Henrique Alemao, nam polakom bardziej znany jako Władysław III Warneńczyk. Sama miejscowość jest pełna uroku. Dojeżdżamy do kościoła, gdzie akurat kończy się msza, niestety nie ma miejsca do zaparkowania i jedziemy dalej, na parking na skraju wioski. W samej wiosce uprawia się banany, są spore plantacje tych owoców, my kierujemy się w stronę kościoła fotografując kwiaty bananowca i kwitnące banany. Na placu przy kościele stoją ludzie, którzy wyszli z mszy, ale ze zdumieniem zauważamy, że drzwi do kościoła są zamknięte. No cóż obchodzimy się smakiem, ale w przewodniku opisany jest też dom, w którym miał mieszkać Władysław z portugalską żoną. Na drzwiach domu ma być królewski herb. Przewodnik opisuje, że jest na zachód od kościoła, tak więc szukamy domu z drzwiami zabitymi deskami, najpierw obeszliliśmy okolice, później objechaliśmy samochodem, niestety nic podobnego nie znaleźliśmy.

Wjeżdżając do kościoła od strony Ponta do Sol widzieliśmy dom, który odpowiadałby opisowi, ale był on od wschodu, jedziemy tam jeszcze raz, żeby się przyjrzeć, parkujemy samochód przy barze, który znajduje się niemal naprzeciw kościoła i z przewodnikiem w ręce idę zapytać kobiet, które siedzą przed tym barem. Pokazuje im w przewodniku stronę ze wzmianką o Henrique Alemao i dowiaduje się, że dom którego szukamy to ten na wschód od kościoła, praktycznie graniczy z kościołem. Pytam jeszcze czy kościół otwarty jest poza mszą, ale okazuje się, że nie a jedyna msza w tygodniu właśnie się zakończyła. Tak więc ruszamy w stronę budynku, który wskazała nam kobieta, robimy zdjęcia, obchodzimy go. Zaglądamy tam

gdzie się da, a dodać trzeba, że budynek jest w fatalnym stanie. W środku jest mocno zdewastowany, niestety drzwi też są w fatalnym stanie. Moją uwagę przykuwa owalna tabliczka nad drzwiami z rokiem 1891 i napisem "Companhia de Seguros Allianca Madeirense" co w wolnym tłumaczeniu oznacza "firma ubezpieczeniowa sojuszu maderskiego". Gdy robiliśmy zdjęcia podszedł do nas miejscowy i coś próbował wytłumaczyć po portugalsku, ale niestety ten pierwszy i jak na razie jedyny raz nie mogliśmy się z nim porozumieć, tak więc nie wiemy o co temu panu chodziło. Po powrocie do domu poszukałem informacji o tym domu, okazało się, że dom, który został подарowany Warneńczykowi i w którym mieszkał dawno nie istnieje, a ten który widzieliśmy należał do osoby, która z Warneńczykiem przyłączyła się do Madery.

Idziemy do samochodu i kierujemy się do Calhety, czyli celu naszej dzisiejszej wycieczki. Szybko dojeżdżamy do celu. Sama Calheta jest mała, główne zabudowania są prostopadle do oceanu, znajduje się tutaj muzeum na świeżym powietrzu przy promenadzie, koło kościoła znajduje się jeden z niewielu młynów cukrowych na wyspie, ale najczęściej turystów przyciągają dwie sztuczne piaszczyste plaże. Parkujemy przy hotelu Calheta Beach, pewien starszy pan, który odjeżdża ze stanowiska obok nas daje nam bilet parkingowy, mówiąc, że jest ważny jeszcze przez 15 minut. Miły gest, ale mówimy, że idziemy plażować, popływać i dziękujemy bardzo, bo 15 minut to za mało. Kupujemy bilet za 1,5 € na dwie godziny. Udajemy się na plażę, zajmujemy miejsce, ja idę od razu zanurzyć się w oceanie. Dno jest bardzo nieregularne najpierw jest płasko a następny krok to już zmiana głębokości o dobre 50 cm, poza tym na dnie są kamienie i trzeba uważać, żeby się nie uderzyć, najlepiej pływać. Miałem problem z wyczuciem głębokości, odpłynąłem 20 metrów od brzegu i nie mogłem dotknąć stopami dna, odpływając 30 metrów od brzegu mogłem spokojnie stanąć, także jak już wspominałem lepiej nie bawić się w wyczuwanie dna tylko po prostu pływać :) Nie jestem zwolennikiem opalania się leżąc plackiem na plaży, dlatego też czas trochę zaczął mi się dłużyć, wdrapałem się na falochron zbudowany z bloków o wysokości ok 2 metrów i tam obserwowałem ocean, grupę miejscowych osób, które łowiły ryby, to znowu poszedłem popływać, i ponownie na falochron, tak zleciały mi te dwie godziny. Dodać trzeba, że w Calhecie pogoda była świetna, cały czas świeciło słońce, temperatura ok 25 stopni. Szybko się przebraliśmy i ruszyliśmy do samochodu.

Teraz planowaliśmy odwiedzić miejscowość Ponta do Pargo - najbardziej na zachód wysuniętą część Madery. Przejeżdżając obok miejscowości Jardim do Mar postanowiliśmy zobaczyć coś ciekawego tutaj jest. Opis w przewodniku był mocno lakoniczny i w zasadzie ograniczał się do tego, że miejscowość została tak nazwana ze względu na obfitość dzikich kwiatów, które zastali tu pierwsi osadnicy. Z racji tego, że jest grudzień piękna kwiatów z pewnością nie zobaczymy, podobnie jak surfingowców, którzy pojawiają się tutaj wiosną. Tradycyjnie szukamy wieży kościelnej, zwykle kościoły są w centrach maderskich miast i wsi, parkujemy możliwie najbliżej kościoła. Życie w tej miejscowości płynie leniwie, miejscowi siedzą na placyku i widocznie jesteśmy dla nich sporą atrakcją, kierujemy się wąską uliczką w stronę oceanu, zbliżając się coraz bliżej słyszymy jak fale rozbijają się o nabrzeże, wchodzimy na swego rodzaju taras z którego można zejść w dół na promenadę. Robimy parę fotek falom i czym prędzej schodzimy na promenadę. Od razu zrozumieliśmy dlaczego można spotkać tutaj surfingowców, fale są idealne do uprawiania tego sportu, "rolują się" zanim uderzą w nabrzeże, mają wysokość ok 4 metrów. Na obserwowaniu fal spędzamy dobrą godzinę. Czas wracać do samochodu, ale po drodze odwiedzamy kościół, który nas zaskakuje, pierwszy raz widzimy kościół, którego podłoga nie jest wykonana z kamienia, marmuru czy granitu, ale z drzewa. Na podłodze jest ułożony parkiet w jodełkę, podłoga jest w świetnym stanie, ba w niektórych domach jest w gorszym. Wracamy do samochodu i ruszamy dalej.

W Ponta do Pargo kierujemy się zgodnie ze znakami na "Farol" czyli latarnię morską, początkowo po obu stronach ulicy towarzyszą nam zabudowania, później pastwiska i dojeżdżamy na parking, który jest się latarni. Wychodząc na malutki cypelek mamy z trzech stron widok na ocean, zdążyliśmy się przyzwyczaić do wspaniałych i zaskakujących widoków ale ten nic a nic nie odbiega od tego do czego zdążyliśmy się przyzwyczaić. Po serii zdjęć jedziemy dalej z zamiarem odwiedzenia miejscowej restauracji Solar do Pargo i spróbowania espetady - wołowiny natartej czosnkiem, nadzianej na patyk z drzewa laurowego i pieczonej nad płonącym drewnem. Nie możemy trafić do tej restauracji i pytamy kobietę ok 35 lat jak do niej dojechać, okazuje się, że kobieta dobrze mówi po angielsku i chwilę rozmawiamy, okazuje się, że restauracja, której szukamy jest zamknięta, ale po drodze w stronę Porto Moniz jest

restauracja, którą poleca znajomy tej kobiety. Jako, że planowaliśmy wracać przez Paul da Serra, jest nam po drodze.

Znajdujemy restaurację o której mówiła kobieta, ale jesteśmy w niej jedynymi klientami, w środku jest bardzo zimno - na zewnątrz chyba było cieplej - a menu ogranicza się dosłownie do kilku pozycji, które nas nie interesują, rezygnujemy i udajemy się w dalszą drogę.

Przejeżdżając koło miejscowości Achadas da Cruz przypomina nam się, że para, którą spotkaliśmy na Pico Ruivo, ta z którą lecieliśmy na Madere wspominała, że jest tutaj świetna kolejka linowa i od razu wypatrujemy znaków "Teleferico". Znajdujemy znak i kierujemy się zgodnie z oznaczeniem parę kilometrów w dół. Na miejscu widzimy górną stację kolejki, usytuowanej na szczycie klifu do dolnej jedzie się niemal pionowo w dół, cena biletu to 3€, jest tylko małe ale, kolejka jest nieczynna, pozostaje zrobienie zdjęć, m.in. towarowej kolejki linowej.

Ruszamy dalej, dojeżdżamy do skrzyżowania na którym skręcamy w prawo zgodnie z oznaczeniem "Paul da Serra", mamy nadzieje na lepsze widoki niż ostatnio i początkowo tak też jest. W pewnym momencie na środku drogi pojawia się stado krów, chodzą sobie luzem nie są do niczego przywiązane, tą niecodzienną sytuację fotografujemy, ale zanim mijają zaskoczenie na drodze zostały może z 4 krowy, które szybko poschodziły na pobocze. Po przejechaniu ok 5 km, widoczność robi się coraz gorsza i w końcu jest gorzej niż wtedy gdy jechaliśmy po raz pierwszy. W gęstych chmurach, które mają ciemny kolor jedziemy w zasadzie widząc w promieniu 20 metrów, przejeżdżamy koło zbiornika wody, i ten jest ledwo widoczny, na szczęście chmury się rozrzedzają i wjeżdżając na wrzosowiska mamy już całkiem przyzwoitą widoczność. Zatrzymujemy się co chwilę robiąc zdjęcia. Wjeżdżając w okolice fermy wiatrowej znowu pojawiają się ciężkie chmury, które towarzyszą nam do samej Encumeady, na dodatek robi się coraz ciemniej. Mamy w sobie tyle energii, że chcemy pojechać do Garaju i porobić nocne zdjęcia panoramy Funchal i Cristo Rei. Musimy tylko podjechać do hotelu po statyw.

Mając statyw meldujemy się przy Cristo Rei, zakochanych jakby więcej, miejsce to ma teraz całkiem inny wymiar. Rozstawiamy się ze statywem i też wzbudzamy pewnego rodzaju zainteresowanie, dopiero teraz uświadamiamy sobie, że do tej pory nie widzieliśmy żadnego turysty, który robiłby zdjęcia z użyciem statywu :) Czas mija szybko na robieniu zdjęć, ale głód daje o sobie znać, czas wracać do hotelu na posiłek, odwiedzając po drodze supermarket w Canico w celu zakupu wina i piwa. Ty razem w wyborze wina pomaga nam bardzo sympatyczny pan, zachwalając wina z regionu Tinto, wcześniej smakowaliśmy wina z regionu Alentejo, idąc za ciosem zamiast piwa Coral bierzemy Zarco :) Tak wyposażeni wracamy do hotelu, na celebrację wieczoru czyli kolacja i biesiadowanie na balkonie.

Dzisiaj nie mamy problemu z wyborem miejsca jutrzejszej wycieczki - ostatni pełny dzień jaki spędzimy na Maderze - wybieramy się do miejsca zwanego Curral das Freiras czyli Schronienia Zakonnice a na wieczór planujemy zobaczyć zachód słońca z Pico Areeiro, zobaczymy co z tego wyjdzie

Dzień 7

7 grudnia, poniedziałek

Canico de Baxio - Eira do Serrado - Curral das Freiras - Camara de Lobos - Pico Areeiro - Canico de Baxio - Funchal - Canico de Baxio

Poranek nas zaskakuje, patrząc na balkon i taras restauracji widać, że padał deszcz, spoglądamy w stronę Funchal a tam ciemna i ciężka chmura. Zapowiada się, że pierwszy raz śniadanie zjemy w środku restauracji a nie na tarasie. Jednak kelner widząc nas nakrywa stolik na tarasie, tak więc tradycja zostaje podtrzymana.

Po śniadaniu wsiadamy do samochodu i jedziemy do Curral das Freiras, miejsca które według osób, które mieszkają w hotelu trzeba zobaczyć, ale zanim dojedzie się do wioski koniecznie należy odwiedzić punkt widokowy w Eira do Serrado, skąd widać wioskę. Chwilę po tym gdy wyjechaliśmy z Canico zaczyna kropić deszcz, stopniowo się nasilając, przed Funchal już leje tak, że wycieraczki nie nadążają z oczyszczaniem szyby, na domiar złego wjeżdżamy w chmury, pierwszy raz doświadczamy jazdy w chmurach na tej wysokości. Kompletnie nie widać Funchal, mimo tego, że jedziemy via Rapidą naokoło miasta, zastanawiamy się czy nie wrócić do hotelu po stroje kąpielowe i ruszyć do Calhety gdzie pogoda zwykle dopisuje, z drugiej strony wiemy, że w Curral das Freiras może świecić słońce i tak kontynuujemy podróż.

Okolo 0,5 km od drogowskazu na Eira do Serrado, deszcz przestaje padać, i gdzie nie gdzie zaczyna przebijać się słońce. Sama droga na Eira do Serrado w górnej części jest na tyle wąska, że dwa autokary mają problem, żeby się minąć. Kierowcy autokarów dojeżdżając do zakrętów trąbią, ostrzegają w ten sposób ewentualnych jadących z naprzeciwka. Tworzy to ciekawy klimat, gdzie idylliczny widok i cisza zostaje zakłócona przez trąbienie. Na parkingu ku naszemu zadowoleniu widzimy, że spora grupa turystów wsiada do trzech autokarów, wygląda na to, że razem z nami na punkt widokowy wejdzie ok 5 osób. Bierzymy statyw, aparat i udajemy się na punkt krocąc schodami zbudowanymi z kawałków bazaltu. Curral das Freiras widać bez problemów, widok jest ciekawy głównie za sprawą wijących się wokół wioski dróg, które tworzą malowniczy klimat, niestety powoli zaczynają nadciągać małe chmurki i co gorsza wycieczka autokarowa. Schodzimy do samochodu, chmury są tutaj już tak gęste, że nie widać drogi prowadzącej na parking, słychać tylko klaksony autobusów.

My zjeżdżamy w dół do wioski szukając lokalu o nazwie Vale das Freiras, który według przewodnika znajdować ma się naprzeciw kościoła. Lokal w rzeczywistości znajduje się po przekątnej w stosunku do punktu informacyjnego. Zamawiamy kawę, po kawałku ciasta oraz wiedząc, że wioska ta słynie z likierów pytamy czy można spróbować tego specjału, okazuje się, że tak ale kieliszek kosztuje 1 €. Pozostajemy tylko przy kawie i cieście. Po chwili dostajemy kawę po sporym kawałku ciasta - powiedziałbym kawale ciasta - i trzy plastikowe kieliszki z różnymi likierami, kieliszki napełnione są w 1/3, kelnerka podkreśla, że likiery są za darmo, ja moczę język - są nawet niezłe, ale nie kusimy się na zakup. Wypijamy kawę i idziemy dalej zobaczyć kościół - a i zapomniałbym przed restauracją są makiety zakonnice i można wsadzić głowę i zrobić sobie zdjęcie, jedna makieta przedstawia zakonnice klęcząca a druga stojąca.

Z tyłu kościoła jest cmentarz i to nas bardziej interesuje, wygląda inaczej niż te znane z Polski, m.in. na każdym nagrobku są zdjęcia osób pochowanych, nie będę się tutaj rozpisywał o tym. Po obejściu kościoła i terenów doń przyległych wracamy ponownie na główna ulice. Co nas uderza ulica jest pusta zero ruchu pieszych i samochodowego. Udajemy się do samochodu i decydujemy, że jedziemy do Camara de Lobos konkretnie do restauracji Churchill's na Espetade, czyli szaszłyk z wołowiny natartej czosnkiem, ostatnio widzieliśmy w tej restauracji to danie.

Chwilę po tym jak wyjechaliśmy z tunelu za Curral das Freiras znowu zaczyna padać. Deszcz się nasila, w takich warunkach pogodowych wjeżdżamy do Camara, zatrzymujemy się na parking przy porcie i szybko udajemy się do Churchilla. Jesteśmy jedynymi gośćmi tego lokalu, składamy zamówienie i czekamy, w międzyczasie dostajemy chleb i masło czosnkowe. Patrząc w stronę portu zauważam, że przy porcie między łodziami, rybacy oprawiają ryby, robię zdjęcia z góry, ale za bardzo nie mogę zidentyfikować co to za ryba, widzę, że jest spora,

ma ok 1,5 metra długości i jest "szeroka". Wracam do stolika gdyż dostaliśmy szaszłyki, smakują wybornie i szybko znikają z naszych talerzy. Po wyjściu z restauracji schodzimy w dół do portu, droga jest bardzo śliska. Niestety piękne chodniki, ścieżki czy też schody, zwłaszcza te spotykane na Maderze w postaci uwypukleń zamiast tradycyjnych stopni - coś na kształt górki przypominających próg zwalniający - są świetne gdy jest sucho gdy spadnie deszcz stają się bardzo śliskie. Cieszę się, że w samochodzie ubrałem buty trekkingowe w sportowych pewnie sunałbym z tej górki jak na nartach, albo na szlachetnej części ciała :) Mam zamiar podejść do rybaków i zapytać czy mogę zrobić im zdjęcia przy pracy i spróbować porozmawiać. Mam pewne obawy gdyż jak wspomniałem podczas pierwszej wycieczki do Camara de Lobos wyglądają oni jak piraci, a dzisiaj pogoda - deszcz i zachmurzenie - robi tło jak z horroru. Jednak podchodzę i pytam czy mogę zrobić zdjęcia. Okazuje się, że nie ma najmniejszego problemu, jednak ryby, które z tarasu restauracji widziałem w całości, teraz są już filetowane. Dowiaduje się, że ryby którymi się zajmują to małe rekiny, zresztą obok stoi spore wiadro w którym można rozpoznać głowy rekinów, robimy zdjęcia, po czym ruszamy do samochodu i dalej do hotelu.

Na dzisiaj planujemy też zobaczyć zachód słońca na Pico do Areeiro. Mając trochę czasu do zachodu idziemy skorzystać ze strefy rekreacyjnej hotelu. Po małym relaksie ponownie wsiadamy do samochodu i ruszamy na Pico do Areeiro, kierujemy się na Funchal, dalej na Monte, deszcz już nie pada, ale pozostają chmury, gdzie nie gdzie słońce się przebija, ale chmury jak były tak są. Jadąc na parking u podnóża Areeiro, robimy zdjęcia rdzawego krajobrazu w tym miejscu, korzystając z chwilowego przejaśnienia, na parkingu okazuje się, że zachmurzenie jest spore i z zachodu raczej nic nie będzie, mimo to czekamy w schronisku, może chmury się rozejdą. Popijając kawę z każdą chwilą tracimy nadzieję, że cokolwiek zobaczymy, zapada decyzja, że trzeba wracać. Wsiadamy do samochodu i kolejny raz odkrywamy, że klimatyzacja bardzo się przydaje - przy takiej pogodzie szyby bardzo szybko parują, ale klima jeszcze szybciej je odparowuje. Jadąc do hotelu widzimy, że niebo nad Funchal nie jest już przykryte chmurami, postanawiamy przyjechać tutaj po kolacji, zobaczyć jak to miasto wygląda nocą - ponoć wygląda rewelacyjne. Po drodze zjeżdżamy do supermarketu kupić wina dla nas, dla znajomych oraz coś do jedzenia na jutrzejszą podróż.

Po przybyciu do hotelu szybka kolacja, ponownie wsiadamy do samochodu i jedziemy do Funchal. Decydujemy się na podróż samochodem mając nadzieję, że ok 21 o wiele łatwiej poruszać i nie będzie problemów z miejscem parkingowym. W Funchal zjeżdżamy z via Rapidy w miejscu gdzie zjeżdżaliśmy jadąc autobusem hotelowym, staramy trzymać się trasy jaką jechaliśmy autobusem, ale w pewnym momencie nie możemy sobie przypomnieć jak dalej jechać. Jeździmy w znanej nam okolicy, poznajemy ulice, ale część z nich jest jednokierunkowa i wyjeżdżamy całkiem gdzie indziej. Skręcamy w stronę ulic, które znamy, jedziemy wiaduktem, po kilkunastu minutach w końcu wjeżdżamy na Rua 5 de Qutubro, która rozpoznajemy. Dojeżdżamy ulicą do końca i skręcamy w prawo w Avenida das Comunidades Madeirenses, jedziemy cały czas prosto. Miejsce parkingowe znajdujemy na ulicy Estrada da Pontinha prowadzącej do miejsca gdzie przycumowane są statki.

Bierzemy aparat, statyw i ruszamy w miasto. Funchal o tej porze wygląda całkiem inaczej - jest kapitalnie oświetlone, co chwilę robimy zdjęcia, nawet tutaj chodząc z aparatem na statywie jesteście sensacją, idziemy wzdłuż nabrzeża, pięknie jest oświetlona Avenida Zarco i jej przedłużenie w stronę oceanu. My idziemy dalej i skręcamy w stronę katedry, która otoczona jest świecącymi aniołami, następnie kierujemy się Avenida Arriga, przechodząc obok Jardim de Sao Francisco dochodzą nas dźwięki muzyki, okazuje się, że społeczność Afrykańska ma jakieś święto i bawi się w tym miejscu. Przyglądamy się przez chwilę i ruszamy dalej w stronę fontanny kuli. Wszystko jest tak fantastycznie oświetlone, każda ulica w centrum mała czy duża ma swój niepowtarzalny urok, władze miasta stworzyły niesamowity klimat tym oświetleniem. Funchal jest jednym z najładniej oświetlonych w okresie świątecznym miast jakie widziałem, a tych widziałem sporo w różnych częściach świata. Funchal ma też jeden z najpiękniejszych i najdłuższych noworocznych pokazów sztucznych ogni na świecie. Ale na nas czas kierujemy się do samochodu, jesteście mimo wszystko zmęczeni dzisiejszym dniem, jedynie fotografujemy statki w porcie i z nostalgią opuszczamy Funchal.

Tego wieczora na balkonie nie planujemy przy winie co będziemy robić jutro, wiemy, że o 11.45 przyjedzie autokar i zawiezie nas na lotnisko skąd udamy się do Polski. Siedzimy wpatrując się w ocean i palmy, które rosną niemal przed nami, cóż ciężko będzie opuszczać

Maderę, zwłaszcza, że w Polsce jest zimniej o 20 - 25 stopni. Tymczasem trzeba się wyspać przed jutrzejszym ciężkim dniem.

Dzień 8

8 grudnia, wtorek

Canico de Baxio - Santa Cruz - Warszawa

Dzisiejszy poranek w przeciwieństwie do wczorajszego zaczyna się słonecznie, musimy się spakować i przygotować do podróży. Najpierw idziemy na śniadanie, które jak zwykle jemy na tarasie, z tą różnicą, że nigdzie się nie spieszymy, ciesząc się słońcem, widokiem na ocean i ostatnim porankiem na Maderze.

Po śniadaniu i rozmowach z polakami, udajemy się do recepcji, żeby zwrócić samochód. Po konsultacji telefonicznej z przedstawicielem wypożyczalni, recepcjonistka, prosi o kluczyki i umowę najmu, bierze kluczyki, sprawdza umowę i pyta się gdzie jest zaparkowane auto. W tak szybki i sprawny sposób oddaliśmy auto, nikt nie sprawdzał czy auto faktycznie jest tam gdzie powiedzieliśmy, nie wspominając o stanie auta, paliwa i tym podobnych rzeczy. Przed oddaniem samochodu sprawdziłem stan licznika, od środy rano do poniedziałku wieczorem przejechaliśmy lekko ponad 800 kilometrów, wydając ok 70 – 75 euro na benzynę. Spalanie wychodzi spore, ale biorąc pod uwagę, że wyjątkowo często używa się drugiego biegu podczas wjeżdżania pod górę nie jest tragicznie.

Samochód oddany, czas się spakować, to idzie nam zadziwiająco szybko, mamy jeszcze dobre 2 godziny do odjazdu autokaru, więc ten czas trzeba jakoś wykorzystać. Ja biorę aparat i fotografuję okolice hotelu, Kasia korzysta ze słońca. Wokoło hotelu kręci się sporo osób czekających na autobus podobnie jak my, tak dobijamy do 11:15 idziemy szybko się wykapać, później ostatni rzut okiem na ocean z balkonu i schodzimy do recepcji oddać klucz. Recepcjonistka życzy nam po polsku wesołych świąt i szczęśliwego roku - jednak zanim orientujemy się, że to do nas i po polsku pani recytuje już "nowego roku". Miły akcent ze strony hotelu.

Teraz wystarczy tylko wdrapać się pod górkę do autokaru, kierowca pomaga załadować walizki, my wsiadamy do środka. W środku jest już sporo ludzi, gdy przyjechaliśmy jechało z nami może 15 osób w drodze powrotnej jest ze dwa razy tyle. Kolejny raz podziwiamy kunszt kierowcy, który cofa pod górkę na wąskiej uliczce. Jedziemy jeszcze do hotelu Dom Pedro Baia, po chwili wchodzi osoby, które korzystały z tego hotelu a do nas dobiega dźwięk jakby ktoś strzelał salwy z armaty na pożegnanie gości, okazuje się, że te "salwy" to norma i słychać je było codziennie od rana do wieczora.

Udajemy się na lotnisko, podjeżdżamy pod terminal i widzimy już rezydentów, którzy wsiadają do autokaru informując nas o tym, że lot będzie planowo i jak będzie przebiegać odprawa. Na słowa rezydentki "proszę przygotować kupony, które otrzymaliśmy w Warszawie z 2/3 biletu" w autokarze robi się mały popłoch, każdy sprawdza czy ma to coś, na ten widok rezydentka mówi, że gdyby ktoś zgubił ma podejść do niej.

Wchodzimy do terminalu i idziemy ustawić się w kolejce w celu otrzymania karty pokładowej i oddania bagażu. Kolejka jest dłuuuga, dodatkowo przygnębia informacja, która pokazuje się nad stanowiskiem odpraw, czyli numer lotu, destynacja a pod spodem mini prognoza pogody, w Warszawie jest 4 stopnie i spore zachmurzenie. Po odprawie przechodzimy kontrolę, która przeprowadzają uśmiechnięci i życzliwie nastawieni funkcjonariusze.

Zajmujemy miejsca na ławce obok sklepu wolnoctwowego, ja biorę aparat do reki i idę w pobliże drzwi, które znajdują się obok w/w sklepu, jest tutaj lepszy widok na samoloty niż z tarasu, gdyż znajduje się na tym samym poziomie co maszyny na płycie lotniska. Robię zdjęcia, udaje mi się sfotografować kołujący samolot, którym będziemy lecieć do Polski. Samolot ten kołuje prosto na mnie, dosłownie na wyciągnięcie ręki, pierwszy raz widzę tak blisko mnie kołujące maszyny. Po tej sesji idziemy na kawę, a później z aparatem idę na taras widokowy. Tutaj samoloty widać z innej perspektywy, robię kilka fotek i słyszę, że zaczyna się boarding, szybko schodzę na dół, ustawiamy się w kolejce i po kilku minutach idziemy płytą lotniska w stronę samolotu.

Robię kilka fotek z płyty lotniska i wchodzimy do samolotu, mamy miejsca 27 E i F. Zajmujemy miejsce, tym razem ja siedzę w środku, ale fotel D jest wolny, generalnie fotele przy przejściu są wolne chyba, że lecą 3 znajome osoby. Przed kołowaniem otwierają się monitorki, na

których wyświetlany jest film z zakresu bezpieczeństwa. Ustawiamy się na pasie startowym i start, który przebiega baaaardzo łagodnie, podobnie jak ten z Warszawy. Wspinamy się w górę, osoby siedzące na miejscach A i B mają tym razem widok na Madere, my na ocean.

Po osiągnięciu wysokości przelotowej, otrzymujemy standardową garść informacji dotyczących lotu od pilota po angielsku, za chwile to samo powtarza polska stewardesa w naszym ojczystym języku, dodaje też, że będzie wyświetlany film, a słuchawki niezbędne do oglądania - a raczej słyszenia dźwięku - są do nabycia u stewardess za 4€, ja na szczęście mam swoje :) Zaczyna się podniebny kiermasz, który jest powtarzany jeszcze dwa razy. Lot zaczyna mnie trochę nudzić, robi się ciemno i nie wiadomo co ze sobą zrobić, próbuje posłuchać muzyki z systemu samolotu, ale nie da się wyregulować głośności na optymalnym dla mnie poziomie, jest stanowczo za głośno, przerzucam się na swój odtwarzacz, oglądam zdjęcia robione na Maderze, czas trochę przyspieszył. Wreszcie obsługa samolotu informuje nas, że będziemy podchodzić do lądowania, chmury są gęste i nisko nad Warszawą. Lądowanie przebiega łagodnie i sprawnie, po wyjściu z samolotu robie jeszcze kilka zdjęć samolotów, które stoją na płycie lotniska m.in. rządowym maszynom Jak 40 i Tu 154.

Po wyjściu z autobusu lotniskowego kierujemy się po odbiór bagażu, który następuje zaskakująco szybko, żegnamy się z osobami, które poznaliśmy podczas wycieczki, wymieniamy się numerami telefonów, e-mailami i wychodzimy z terminalu udajemy się do domu ...

Strony internetowe

Nasza strona: madera.org.pl

Facebook: www.facebook.com/madera.kraina.wiecznej.wiosny

Grupa Maderskie podróże: www.facebook.com/groups/grupa.madera